

Głos z Florencji: Wszystko, co było przedtem, widzę jak we mgle. Wczoraj chodziliśmy do teatru, dziś śpiewamy, by przetrwać

17.03.2020

Kiedy piszę ten tekst, liczba chorych przekroczyła 23 tysięcy. Zgonów jest już ponad 2158, codziennie umierają setki ludzi, a szpitale są przeciążone. To jest nasze "bagno nella realta", kąpiel w lodowatej wodzie realiów

Na schodach zatrzymuje mnie Francesco, sąsiad z piętra niżej, dentysta. Stoimy w przepisowej odległości jeden od drugiego, metr, a może półtora. „Wiesz, Włodku, mów mi (w mojej kamienicy mieszkają tylko trzy rodziny, jesteśmy wszyscy na ty). Jak to dobrze, że żyjemy w demokracji, nie ma czołgów na ulicach i dyktatora, który wydawałby rozkazy i groził surowymi karami”. Rozmowa toczy się dzień po dramatycznym wystąpieniu premiera Giuseppe Contego, kiedy “advokat ludu” - tak przedstawił się dwa lata temu, gdy powierzono mu misję stworzenia poprzedniego populistycznego rządu - przemówił do Włochów językiem rozumu, tak jak mówi się do ludzi dorosłych, obywateli świadomych praw i obowiązków, nie ukrywając, iż nie ma gwarancji, że drakońskie przepisy “desocjalizacji” (nie obejmować się, stać w odległości, nie wychodzić z domu) wystarczą, aby pokonać COVID-19.

Nazajutrz po przemówieniu na ulicach Florencji ludzie byli niezwykle uprzejmi dla siebie. Nikt nie narzekał. Na rynku, gdzie kupuję owoce i warzywa, wszyscy przestrzegali przepisów na temat wymaganego dystansu. Do pobliskiej apteki klienci wchodzili pojedynczo. Na zewnątrz ustawiła się więc długa kolejka. Nikt się nie przepychał, nikt nie kupował (pytałem aptekarkę, znamy się dobrze) leków na zapas.

Po południu zadzwoniła koleżanka żony - pracowały w tej samej szkole wiele lat temu - dużo młodsza, z pytaniem czy może zrobić dla nas zakupy w supermarkecie, bo ona i tak je robi dla siebie i rodziny. Dwie godziny później na moim piętrze zjawili się dwaj afrykańscy imigranci, najwyraźniej uchodźcy, z torbami z zakupami i z kopertą,

w której była reszta od 100 euro (tak umówiliśmy się z kasjerką przez telefon). Odmówili napiwku.

A wracając do rozmowy z sąsiadem, Francesco powiedział mi rzecz prostą i elementarną: “Spodobał mi się apel premiera, przekonał mnie, że los kraju jest w rękach każdego z nas, że od tego, jak będziemy postępować, zależy nasza przyszłość, i że nie możemy liczyć na cud ani na nadzieję na męża opatrzności”. I jeszcze:

“Tylko demokracja może pokonać śmiertelnych wrogów, dyktatury opierające się na mowie nienawiści skazane są na porażkę nawet wtedy, kiedy na krótki okres czasu wydaje się, że rozwiązują problemy”.

Parę dni przedtem żyliśmy w innym świecie. Nie mówię o ogóle ludności. Piszę o sobie i moich bliskich. Chodziliśmy prawie codziennie do teatru, na koncerty, byłem na "Traviacie" w operze, na kolacji ze znaną pisarką. Ale zanim jeszcze Conte wygłosił swoje przemówienie, moja lekarka urządziła mi awanturę przez telefon: “Musi pan zrozumieć, że ma pan siedzieć w domu. Nie chodzi mi o pana zdrowie, to jest po prostu obywatelski obowiązek. Musi pan wziąć udział w ograniczeniu rozprzestrzeniania się wirusa. Inaczej ja i moi koledzy nie damy sobie rady”. Teatry były już zamknięte, ale kolacje w gronie znajomych (w Italii bez tego nie da się żyć) jeszcze trwały. Ja od tego dnia przestałem w nich uczestniczyć, wielu ludzi postąpiło tak samo.

Ale przełomem było jednak przemówienie premiera, było ono odwołaniem się do rzeczywistości. „Un bagno nella realtà” mówi się po włosku, kąpiel w rzeczywistości. Nie było to łatwe.

Przez ostatnich parę lat, prawica, a właściwie Liga Matteo Salvini, zdobywała coraz większą popularność, szerząc slogan „Padroni a casa nostra”, gospodarze we własnym domu. Obcy jest wrogiem. Dom jest oblężoną twierdzą, której trzeba bronić. Nie należy zaufać nie tylko imigrantom i uchodźcom. Jednym z postulatów Ligi była zmiana ustawy o prawie do samoobrony. Chodziło o to, żeby łatwiej było używać broni palnej, kiedy najdą twój dom złodzieje.

Otwarcie na świat, uczestniczenie w imprezach kulturalnych, nawet aperitify, stały się więc racją bytu lewicy i ludzi liberalnych. Kiedy w Chinach zaczęła się epidemia koronawirusa, przywódcy lewicy i politycy, którzy walczą z Ligą, fotografowali się w chińskich restauracjach. Nie oddamy pola ksenofobom. Życie toczy się dalej, mówiliśmy. Chodząc do teatrów, walczymy z ideami Ligi. A zresztą, pomysł ruchu sardynek, który zaczął zmieniać na dobre oblicze Włoch parę miesięcy temu, był prosty: wychodzimy na ulice, śpiewamy razem "Bella Ciao", obejmujemy się, całujemy, nie siedzimy w domu. We Florencji było nas 30 tysięcy, młodych i starych. A 26 stycznia Salvini przegrał wybory w Emilia-Romagna, czerwonym regionie, który próbował zdobyć szturmem. Być razem, wychodzić z domu, okazało się strategią prowadzącą do zwycięstwa nad prawicowym populizmem.

Potem zaczęły się statystyki. Kiedy piszę ten tekst, w niedzielę 15 marca, liczba chorych przekroczyła 20 tysięcy. Zgonów jest już ponad 1800, codziennie umierają setki ludzi, a szpitale są przeciążone. To jest nasze „bagno nella realtà”, kąpiel w lodowatej wodzie realiów. Jesteśmy więc w domu. A jednak nie jesteśmy sami. Nie tylko rozmawiamy przez telefon, ale też zmieniło się oblicze środków przekazu.

W telewizyjnych talk-show nie ma już przekrzykujących się polityków, prawie zawsze i prawie tylko mężczyźni mówiących zdaniami zawierającymi maksimum pięć słów, co było regułą przez wiele lat. Odkryliśmy, że w tym kraju istnieją kompetentni epidemiolodzy, immunolodzy, naukowcy, którzy pracują za niewysokie pensje państwowe, a przecież mają wiedzę, którą mogliby sprzedać za duże

pieniądze najlepszym amerykańskim uniwersytetom. Odkryliśmy, że kobiety mają głos, kompetencje, wiedzę, o czym mówią, są wspaniałymi lekarkami, humanistkami, potrafiącymi opowiadać o nauce tak, jak gdyby mówiły o codziennym życiu albo o fascynującej powieści. Widzimy je codziennie w telewizji i ufamy im. Są piękne, bo są mądre. Wiedza, doświadczenie życiowe stały się znów wartością.

Nie możemy wyjść na spacer, a kiedy jednak idę ulicami Florencji, piękno wyludnionego miasta, renesansowych perspektyw, oszałamiających piazze, jest pięknem bolesnym. Zachwyt i słona ciecz w oczach.

Śpiewamy na balkonach i w oknach. To nie jest folklor Włocha z mandoliną.

Marek Edelman, wiele razy mi powtarzał, że powstanie w getcie warszawskim było możliwe, bo młodzi bojownicy przez długie miesiące śpiewali razem.

Oczywiście, teraz wrogiem jest nie faszyzm, lecz wirus. Ale nagle odrodził się etos Resistenza, ruchu oporu. Istnieje stereotyp “nieracjonalnego indywidualisty” Włocha. Historia tego kraju w czasach, kiedy wybory życiowe każdego są zasadnicze, jest jednak inna. Młodzi ludzie w latach wojny szli do partyzantki, bo byli świadomi, że od decyzji każdego z nich zależy przyszłość. I zaufali sobie wzajemnie. 600 tysięcy żołnierzy i oficerów we wrześniu 1943 roku, kiedy król zerwał przymierze z Hitlerem (po czym uciekł z Rzymu i ta ucieczka było przyczyną stygmy), a Mussolini wyzwolony przez Niemców organizował swoje państewko i wojsko, wołało pójść do hitlerowskich obozów, żeby nie walczyć dalej po stronie faszystów. Pamięć tych czynów wróciła. Śpiewamy, bo jesteśmy obywatelami.

Parę dni temu zadzwonił do mnie przyjaciel, wielki izraelski pisarz. To było jeszcze przed śpiewaniem i uprzejmością w kolejkach do apteki, ale już z zamkniętymi teatrami i bez towarzyskich kolacji. Był ciekaw nie analizy sytuacji, ale tego co czuję. Powiedziałem

mu, że wszystko, co było przedtem, widzę jak we mgle i nie wiem, co jest naprawdę ważne. Kiedy odłożyłem telefon, pomyślałem, że ważna jest fotografia pielęgniarki śpiącej na krześle w szpitalu z głową na stole.

Włodek Goldkorn urodzony w Katowicach włoski pisarz, dziennikarz i redaktor. Wieloletni redaktor działu kultury tygodnika L'Espresso